

Eurozona Ameryki

13 czerwca 2024

Nigdy chyba w kampaniach wyborczych do Parlamentu Europejskiego nie było tak bałamutnej agitacji i prymitywnej propagandy, związanej z zagrożeniami dla bezpieczeństwa narodowego, jak w ostatnich tygodniach.

Unię Europejską przedstawiano jako cudowne panaceum na wszystkie bolączki współczesnego świata. Zachwycano się jej osiągnięciami, jakby proces europejski był wolny od błędów i porażek. Zapanowała propaganda sukcesu. Nikt nie zająknął się, w którą stronę zmierza ta machina biurokratyczna. Podobnie nikt nie wskazywał, jakie szkody może wywołać parcie w stronę państwa ponadnarodowego.

W retoryce politycznej dominował manichejski podział świata na Dobro i Zło. Ze względu na bombardowanie umysłów Putinem i Łukaszenką, każdy odbiorca tej maskarady bez wahania miał zrozumieć, po której stronie podziału ma się uplasować. Ponadto do retoryki politycznej wróciły takie słowa, jak fortyfikacje, zasieki, strefy buforowe, strefy zamknięte, heroizm i ofiarność w obronie granicy oraz tworzenie nowego niezwykle kosztownego kordonu sanitarnego czyli tzw. linii Tuska. Polska znów „Winkelriedem narodów”, misjonarzem świata Zachodu, który jedyną szansę utrzymania swojego stanu posiadania upatruje w zbrojnej konfrontacji z Rosją, cynicznie wspierając Ukrainę, aby wykrwawiła się „do ostatniego Ukraińca”.

Z częścią argumentacji o rozmaitych zagrożeniach, którym można sprostać jedynie zespołowo, w integracyjnym związku państw, można się zgodzić. Ale jak można zaakceptować hipokryzję rządzących i opozycji, które wystawiły kandydatów na stanowiska europarlamentarzystów spośród zblazowanych graczy politycznych, polityków skompromitowanych albo nieudolnych, a co jeszcze gorsze, takich, którym zależy na dobrze opłacanych

synekurach, mimo że niczego szczególnego nie osiągnęli na dotychczasowych stanowiskach urzędniczych czy władczych.

Partie oszukują wyborców...

...tym, że wystawiają „najlepszych” kandydatów w opinii „wodzów”, ale niekoniecznie ze względu na ich predyspozycje czy kwalifikacje. W tym procederze przejawia się polityczny nepotyzm, protekcja i sybarytyzm. Myślący wyborcy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że wielu kandydatów do Parlamentu Europejskiego nie zdałoby żadnego egzaminu z zakresu funkcjonalności Unii, jej prawa instytucjonalnego i materialnego, nie mówiąc o kwalifikacjach językowych i komunikacyjnych.

Umysły kandydatów na europarlamentarzystów są tak sformatowane, aby nie dotykać spraw trudnych i wrażliwych. W zasadzie nie było żadnej poważnej debaty o pułapkach i zagrożeniach Zielonego Ładu, w tym transformacji energetycznej, nikt nie podniósł sprawy konfliktu interesów między Polską a starającą się o akcesję Ukrainą, żaden z kandydatów nie zastanawiał się, czy i kiedy możliwy będzie powrót Europy do normalności, a także jaka Ukraina powstanie po zakończeniu wojny. Kto w Unii Europejskiej jest w stanie zagwarantować – mimo demonstrowanego entuzjazmu wobec obrońców Ukrainy – że z wojny wyłoni się państwo gotowe do normalizacji stosunków z sąsiadami? Być może będzie to stały punkt zapalny i kość niezgody na długie lata. Jakie zatem zadania stoją nie tylko przed unijnym przemysłem zbrojeniowym, ale także brukselską dyplomacją? Dlaczego nikt nie zająknął się na temat powrotu do pokojowego załatwiania sporów, których w Europie Wschodniej nie brakuje?

Na tym tle potrzebna jest krytyczna refleksja, w jakim układzie geopolitycznym znajduje się obecnie Polska, jeśli stale wraca retoryka, określająca nasze położenie jako bardziej zagrożone niż kiedykolwiek wcześniej od czasów II

wojny światowej. Czy aby Polska nie znalazła się wbrew przekonaniu elit politycznych o odzyskaniu podmiotowości w groźnej amerykańskiej strefie wpływów, z projekcją ich władztwa na Europę w postaci Unii Europejskiej? Czy nie zostaliśmy zaprzęgni w rydwan interesów anglosaskiego Zachodu, psując doszczętnie stosunki sąsiedzkie z największym graczem regionu, tj. Rosją? Kto określa skalę ryzyka, że Polska kolejny raz w historii ze względu na swoją gorliwość w podporządkowaniu się obcym interesom nie stanie się ofiarą konfrontacji między Zachodem a Rosją?

Hipokryzja made in USA

W tworzeniu stref wpływów nie ma specjalnie nic dziwnego. Szukając ochrony przed wielkim mocarstwem państwa słabsze i mniejsze wpadają niemal automatycznie pod protekcję innych potęg. Stany Zjednoczone jako hegemon współczesnego systemu międzynarodowego tworzą rozmaite strefy zależności, ale oficjalnie odzegnują się od uznawania stref wpływów. To typowa dla amerykańskiej dyplomacji hipokryzja. USA nie chcą bowiem uznawać ani respektować stref wpływów innych potęg, na przykład chińskiej czy rosyjskiej, ale roszczą sobie prawo do własnej strefy, nigdy wprost niezadeklarowanej, rozciągającej się obecnie na cały świat.

Strefy wpływów zapewniają mocarstwom hegemonicznym prawo do nadzorowania i kontroli innych państw, co w dużej mierze jest konsekwencją rywalizacji międzymocarstwowej. Zjawisko to zrodziło się w Ameryce w postaci deklaracji prezydenta Jamesa Monroe 2 grudnia 1823 roku, za radą sekretarza stanu Johna Quincy Adamsa. Obaj domagali się respektowania niezależności państw półkuli zachodniej, a wszelkie przejawy interwencji europejskich potęg traktowano jako „niebezpieczne dla pokoju i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych”.

Taka formuła w definiowaniu interesów atlantyckiego giganta stała się imperatywem ich dominacji w hemisferze zachodniej.

Warto wszak pamiętać, że rozmaite imperializmy zachodnie, zwłaszcza Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii, Niemiec, Włoch, Portugalii i Hiszpanii, doprowadziły pod koniec XIX wieku do podziału dominacji na kontynencie afrykańskim i to stamtąd wywodzi się nazewnictwo, które tak wybiórczo i jednostronnie jest stosowane w dzisiejszych czasach.

Podczas II wojny światowej prezydent Franklin Delano Roosevelt proponował koncepcję „czterech policjantów”, z których każdy miał być odpowiedzialny za utrzymanie pokoju w swojej strefie wpływów i interesów. Według jego naiwnych wyobrażeń Wielka Brytania miała odpowiadać za swoje imperium i Europę Zachodnią, ZSRR za Europę Wschodnią i środkową Eurazję, Chiny za Azję Wschodnią oraz Zachodni Pacyfik, a Stany Zjednoczone za półkulę zachodnią. Churchill lobbował także za Francją, która miałaby odpowiadać za swoje imperium.

Być może najbardziej sprytnym strategiem i wizjonerem okazał się Stalin, który na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku przechytrzył zachodnich sojuszników i wbrew „Deklaracji o wyzwolonej Europie”, drogą faktów dokonanych, stworzył trwały podział zdobyczy geopolitycznych na kolejne kilkadziesiąt lat. To wtedy podczas tzw. zimnej wojny zrodziło się przekonanie, że uregulowanie wrogiej konkurencji wymaga uznania równości interesów bezpieczeństwa przeciwważnych bloków i supermocarstw. Służyły temu strefy wpływów, zapewniające wyłączność każdej ze stron w organizowaniu dominacji gospodarczej, solidarności ideologicznej, klientelizmu elit oraz prawa interwencji w celu utrzymania porządku i zapewnienia lojalności sojuszniczej.

Strefy wpływów odgrywały ważną rolę w systemie równoważenia sił między rywalizującymi ugrupowaniami. Sprzyjały w miarę stabilnemu rozkładowi potęgi i władztwa w systemie międzynarodowym, zapewniając przewidywalność i powściągliwość w realizacji wzajemnego odstraszenia. Sieć dwustronnych i wielostronnych sojuszy USA i ZSRR ze swoimi klientami była gwarancją zachowania status quo. Nie było ważne, że aliantami

obu superpotęg były państwa o charakterze dyktatur cywilnych i wojskowych. Lojalność i posłuch wobec hegemonów były jedynymi gwarancjami ich patronażu i trwałości układów sił.

Po zakończeniu „zimnej wojny”, wraz z hegemonizacją stosunków międzynarodowych przez Stany Zjednoczone, strefy wpływów uznano za niemoralne i niedopuszczalne ze względu na ograniczanie wolności politycznej i gospodarczej państw. Uwagę skierowano natomiast w stronę obcych stref wpływów – Rosji, Chin, Indii, Iranu, zacierając istotę dominacji amerykańskiej w przestrzeni geopolitycznej Zachodu.

Imperium Americanum

Pod przykrywką poszanowania suwerenności państw stanowiących tzw. kolektywny Zachód, w rzeczywistości stworzono hierarchiczne struktury, oparte na zbiorowej kontroli i lojalistycznym podporządkowaniu. Tylko nieliczni politycy dostrzegają tę pułapkę. Większość jest święcie przekonana, że organizmy polityczne, wojskowe i gospodarcze Zachodu są nastawione altruistycznie i darzą bezinteresowną przyjaźnią każdego, kto zechce do nich dołączyć.

Nie dostrzega się jednak bezwzględnej gry interesów, egoistycznego pędu do „neokolonialnego” wycisku, w atmosferze udawanego partnerstwa i protekcjonalizmu. Kompradorskie elity polityczne wmawiają swoim obywatelom, że dysponują samodzielnością w podejmowaniu decyzji, gdy w istocie procesy decyzyjne w państwach podporządkowanych są oparte na zewnętrznym, acz ukrytym i wyrafinowanym instruktażu.

Elity państw lojalnych wobec hegemonia bezkrytycznie afirmują i przyswajają sobie jego standardy gospodarcze i wojskowe, a także praktyki kulturowe i prawne. Kolejne pokolenia są wychowywane w duchu wartości przejmowanych od patrona. Dzieci członków elit wysyła się na naukę do instytucji edukacyjnych, uznawanych za najlepsze w mocarstwie hegemonicznym. Po powrocie gwarantują nie tylko lojalność, ale także

wdzięczność. Stanowią doskonały potencjał dobrowolnego podporządkowania. Następuje uniformizacja wzorów zachowań, co sprzyja zatracaniu osobnych cech i własnej tożsamości.

Obserwacja stosunków międzynarodowych prowadzi do wniosku, że takie zjawiska nie budzą jakiegoś specjalnego sprzeciwu. Na przykładach wielu państw pokolonialnych widać, że mimo ograniczania ich autonomii przez dawne imperia, darzą one mniejszym lub większym szacunkiem metropolie, licząc na pomoc i różne formy wsparcia. Po II wojnie światowej jedynie nieliczne państwa nie dały się spenetrować i podporządkować potęgom, zachowując status neutralności (Szwajcaria, Austria, Finlandia), czy też dystansując się od hegemonów, jak Rumunia w Układzie Warszawskim lub Francja w NATO i Wspólnotach Europejskich.

Roztropna powściągliwość i świadome unikanie urażenia potężniejszych sąsiadów jest przywilejem nielicznych, którzy potrafią realistycznie oceniać swoje miejsce w geopolitycznych układach sił i przeciwważyć ryzyko całkowitego podporządkowania jednemu ośrodkowi potęgi, poprzez szukanie elastycznych i pragmatycznych koalicji przeciwważących. Mimo jazgotu wokół polityki Viktora Orbána, to właśnie dzisiejsze Węgry pokazują, że dystans i zachowanie wewnątrzsterowności wobec układu hegemonicznego, w którym obowiązuje logika subordynacji, są możliwe.

Po II wojnie światowej Stany Zjednoczone podporządkowały sobie Europę Zachodnią poprzez instytucjonalizację więzi w skali dotąd niespotykanej. Pomoc finansowa w odbudowie Europy (Plan Marshalla), zobowiązania obronne przed ekspansją komunizmu i ZSRR (utworzenie NATO), wreszcie budowa wielkiego rynku zbytu poprzez tworzenie wspólnoty gospodarczej (EWG) dały podstawy do stworzenia regionu, który zaczęto wraz z Ameryką nazywać „wolnym światem”. Ten retoryczny chwyt zyskał aplauz w skali światowej. „Wolny” oznaczał nic innego, jak „niepodporządkowany” ZSRR ani Chinom. Paradoksalnie, to zawołanie ciągle zachowuje aktualność, choć nie ma już ani

ZSRR, ani Chiny nie grzeszą ortodoksją komunistyczną. Wraz z Rosją praktykują wzory gospodarki hybrydowej i obstają przy autorytarnych formach rządzenia. To właśnie napędza zachodnią krucjatę przeciw nim zgodnie z założeniami internacjonalizmu demokratycznego.

Strefy wpływów nie są deklarowane ani omawiane w negocjacjach międzymocarstwowych. Wszyscy obserwatorzy dobrze orientują się we wpływach Indii w Azji Subhimalajskiej, Iranu w Iraku, Libanie, Syrii i Jemenie, Australii na Południowym Pacyfiku czy Republiki Południowej Afryki w Afryce Południowej. Sformalizowanie tego stanu rzeczy oznaczałoby sprzeciwienie się rzekomo najważniejszej zasadzie prawa międzynarodowego, tj. suwerennej równości państw.

Wszyscy jednakowoż doskonale wiedzą, że strefy wpływów są niczym innym, jak potwierdzeniem dominacji gospodarczej, wojskowej, technologicznej i politycznej na danym obszarze. Z jednej strony ograniczają, jak i stymulują strategiczne interakcje między wielkimi mocarstwami. Z drugiej kreują nawyki przyzwolenia i godzenia się na asymetryczne układy sił między państwami słabszymi i silniejszymi. W okresach załamania równowagi międzynarodowej mogą jednak budzić radykalny sprzeciw wobec dotychczasowej hegemonii. Stąd ich ważna rola w dekompozycji starego ładu międzynarodowego na rzecz nowych układów geopolitycznych. Byliśmy świadkami takiego przetasowania po rozpadzie bloku wschodniego i rozwiązaniu ZSRR.

Rosja jako wróg

USA wykorzystwały wtedy wszystkie swoje przewagi dla zbudowania systemu monocentrycznego, dyktując innym nie tylko swoje wartości i interesy, ale podejmując liczne interwencje o charakterze bezprawnym, które doprowadziły do degradacji norm Karty Narodów Zjednoczonych. Pod wpływem Waszyngtonu sojusz północnoatlantycki, którego konfiguracja w dużej mierze

pokrywa się z amerykańską strefą wpływów wojskowo-politycznych w Europie i basenie Morza Śródziemnego, ponownie zaczął uzasadniać swoje istnienie groźbami ze strony Rosji. Do tej argumentacji dołączyła bezkrytycznie Unia Europejska. W rezultacie Rosji odmówiono, w dużej mierze ze względu na antyrosyjskie fobie państw środkowoeuropejskich, prawa do obrony swoich racji. Ostatecznie Rosja zademonstrowała swoją determinację w obronie stanu posiadania, blokując zbrojnie dalszą ekspansję amerykańskiej strefy wpływów w Europie.

Bez zrozumienia tego tła trudno dyskutować o pokojowych perspektywach rozwoju integracji europejskiej. Będzie ona bowiem rozwijać się w cieniu groźnego dla Zachodu zbliżenia rosyjsko-chińskiego. Błąd Zachodu polega na zakwalifikowaniu Rosji i Chin jako przeciwników ideologicznych i wrogów geopolitycznych. Stworzenie przez nie inkluzywnego sojuszu antyamerykańskiego może nie tylko przybliżyć katastrofę globalnej konfrontacji zbrojnej, ale pociągnąć za sobą dezintegrację dotychczasowych struktur zachodnich w konsekwencji starcia bezpośredniego.

Eurazjatycka strefa wpływów rosyjsko-chińskich jest faktem. Pod względem przestrzeni i zasobów jest ona w stanie przeciwważyć strefę euroatlantycką. Nie wydaje się realnym wyeliminowanie rosyjskich wpływów kulturowych, politycznych i wojskowych na rzecz usadowienia tam państw zachodnich. Dominujący wpływ wojskowo-polityczny Rosji poprzez Organizację Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym czyni z niej „regionalnego interwenta” i „organ pierwszej pomocy”. Jaskrawym przykładem takiej roli była interwencja w Kazachstanie w styczniu 2022 roku.

Chiny z Rosją wykorzystują Szanghajską Organizację Współpracy jako mechanizm konsolidacji regionalnej, instrument neutralizacji ruchów ekstremistycznych i separatystycznych oraz sposób ochrony autorytarnych reżimów poprzez zwalczanie „kolorowych rewolucji”. W istniejącej sytuacji ani Stany Zjednoczone, ani Unia Europejska nie są w stanie skutecznie

konkurować z Chinami i Rosją na tym obszarze.

Polska ślepota polityczna

Polskie myślenie geopolityczne trzeciej dekady XXI wieku jest niezwykle ubogie, a ślepota poznawcza elit rządzących i struktur medialnych nie pozwala dostrzec, że światowa dominacja i globalna strefa wpływów Stanów Zjednoczonych ulega zakwestionowaniu przez ich największych oponentów, a także wielu mniejszych regionalnych graczy. Widać to z perspektywy zdystansowanych obserwatorów zaostrej rywalizacji międzymocarstwowej.

Ameryka Łacińska przełamuje bariery wynikające z klątwy doktryny Monroe i intensyfikuje stosunki z Chinami i Rosją, a także Iranem i Turcją. W regionie Azji i Pacyfiku Chiny zaczynają dyktować swoje reguły gry, zmierzając konsekwentnie w stronę usunięcia Tajwanu ze strefy wpływów USA i scalenia go z kontynentem. W Europie Wschodniej Rosja nie ustępuje ze swoich żądań neutralizacji Ukrainy, tak aby nie stała się ona częścią amerykańskiej eurozony. Na Bliskim i Środkowym Wschodzie amerykańska dominacja, a także wpływy innych mocarstw zachodnich są kwestionowane przez islamizm i nacjonalizm. Przy słabnącej roli Ameryki pod znakiem zapytania staje dotychczasowa strategia bezpieczeństwa Izraela. Jesteśmy wreszcie świadkami dużych przegrupowań wśród państw afrykańskich, które z determinacją odwracają się od protektoratu mocarstw zachodnich.

Czy w tym świetle Polska ma szanse powrotu do polityki zrównoważonej i wyjście ze ślepego zapatrzenia w omnipotencję Ameryki i Unii Europejskiej? W kontekście obaw o „prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie” większości nowego Parlamentu Europejskiego może warto zauważyć, że są jednak w Europie ludzie zdolni do wyjścia z masowej bezmyślności, gotowi do obrony swoich narodowych tożsamości oraz zbudowania nowego „modus vivendi” między państwami reprezentującymi pluralizm

cywilizacyjny i światopoglądowy, wbrew hegemonii atlantyzmu.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info